

STAUBBACH.

STAUBBACH.

Niedaleko wsi Untersee w kantonie Berneńskim w Szwajcaryi, leży wązka skalista dolina, ku południowo-zachodniéj stronie między najwyższemi górami, na pięć godzin drogi rozciągająca się, która od mnogości strumieni z wysokości skał spadających, Lauterbruńskiéj doliny nosi nazwisko. Jest ona jedną z licznych dolin, w górnéj części kraju berneńskiego utworzonych przez wystające gałęzie Alp górnych, które na południe kanton Bern od kantonu Wallis przegradzają. Skały wapienne po obu stronach rozproszonemi w nich cząstkami rud żelaznych rozlicznie ubarwione, w dziwacznych kształtach porozrywane, tu i owdzie jodłą lub zielonėm drzewem porosłe, przy świetle odmiennėm nader malowniczy stawią widok. Od zachodniéj strony wynioślejsze są i dziksze skały aniżeli z przeciwnéj, a z ich szczytów spada większa część potoków tworzących strumień, który dolinę przerzyna. Ściany skał po obu stronach tak są do siebie podobne, iż nasuwa się myśl że gwałtowne wstrząśnienie rozdarłszy one góry utworzyło dolinę, na którą hamowane w swym biegu potoki górne wytrysnęły. Dolinę, kędy podczas zimy światło słoneczne zaledwie przez pół godziny przyświeca, liczne potoki nieraz, zwłaszcza podczas gwałtownych deszczów, nagle zatapiają; często też zsuwają się na nię ze skał ogromne zaspy śniegu. Ziemia dosyć jest urodzajna, a ludność doliny mieszka częścią w rozproszonych domach, częścią w wioseczce Lauterbrunn, na trzy godziny odległości od Unterseen.

W pobliżu téj wioski spada z wysokości 800 stóp kaskada Staubbach, na poprzedzającéj rycinie wyobrażona. Około godziny drogi wyżéj znajdują się inne wspaniałe malownicze wodospady, a z nich najokazalszy przy grocie Staubbachskiéj, kędy woda trzema ogromnemi strumieniami, w świetnych kolorach tęczy spada z wysokości; gdy tymczasem od południowéj strony doliny, wznoszą się w milczącym przepychu góry: Dziewicza (Jungfrau), Silberhorn i inne Alp szczyty. Na 50 ztąd kroków spada właściwy Staubbach z wierzchołka skał. Przy pełnéj wodzie płynie on prostopadle z wysokości, ale dosięgnąwszy doliny rozpryska się po większéj części, stawiąc widok najokazalszy, zwłaszcza gdy słońce około południa, blaskiem swym skały oświeca. Pod massą wody tworzy się wówczas tęcza, która w pewnėm oddaleniu wydaje się pół okrągłą, a za zbliżeniem się w wspaniałe koło się zamienia.

Przy silnym wietrze szczególne tu okazą się zjawiska. Gdy dmie gwałtownie od południa, częstokroć hamuje spad potoku, i unosi w powietrzu obłoki rozpryśniętych jego wód. Zimową porą szybkość spadu opiera się przez czas niejaki marznięciu, ale za powiększeniem się zimna krople wody zamieniają się w kulki lodowate i w postaci gradu na dół spadają. Gdy nakoniec potok cały zamarznie, podobny jest wówczas do nadzwyczajnie ogromnego sopla lodu, który po ścianie skały na dół się zwiesza i coraz więcéj posuwa się, dopóki ciężarem własnym niższe warsty lodu naparłszy, jako straszliwa lawina nie spadnie.

STARE MIASTO
W WARSZAWIE.

(Opis z roku 1828.)

Wysokie kamienice o trzech, czterech i pięciu piątrach, usadzone jedne przy drugich, w czworogranie, stanowią Stare Miasto w Warszawie. Patrząc na te wązkie, a wysokie, starą barwą ocechowane budowle, zdaje się, że ci co określali pierwsze zarysy miasta, skąpili ziemi, potrzebowali zgęszczonego, duszącego powietrza: że piersi pierwszych mieszkańców wytrzymalsze były na ciężkie wyziewy z błota, i zacieśnionych budowli. Dziś przez zrzucenie na środku Starego miasta stojącego Ratusza, plac się oczyścił; ale dawniéj prócz tego gmachu, liczne sklepy i kramy, szczególniéj w czasie zjazdu znacznego rozmnożone, zostawiały zaledwie miejsce do przejścia. Gdyby który z mieszkańców z 1500 roku wyszedł z *Staréj Warszawy*, jak niegdyś zwano tę część miasta, właściwie piérwszy zawiązek stolicy: jakiegożby doznał podziwienia, że to co stało za murami starego grodu, dziś w środku miasta znajduje. Posąg Zygmunta III, kościół Bernardynów, całe Krakowskie przedmieście, nie wspominając dalszych i okazalszych ulic: to wszystko już było za murami *Staréj Warszawy*.

Ale w onych wiekach, gdy na wzgórzu po nad słowiańską rzeką *Białéj wody*, co póżniéj przybrała nazwę Wisły, wznoszono mury Warszawy, tego karła, co się tak rozrósł w olbrzyma, skąpiono w obwodzie grodu, bo go chciano mieć groźnym, bez-

piecznym. Dla tego obwiedziono grubym i wysokim murem, warownémi bramami, w okół zostawując czyste pole, dla dojrzenia z basztów zbliżonych nieprzyjaciół. Dla tego też ścieśniano ulice, budowle, nie zostawiono żadnego placu, żaden dom nie ma dziedzińca, gdzieby kolasą obrócić: tak jakby każda stopa ziemi szła na wagę złota. W tym starym grodzie ciasne ulice, na których jadący ledwo pominąć się mogą, zamykano co noc łańcuchami: księżyc wonczas oświecał jakby cmentarz wielki: bo cichość ponura osiadała ulice, domy; czasem jeno wykrzyk podchmielonego, zaburzył milczenie, jak głos sowy ponurą nocną ciszę leśną. Ludzie wtedy mniéj w nocy czuwali, szlachta ochocila się po dworach swoich na wsiach; *starą Warszawę* zamieszkiwali kupcy, rzemieślnicy, przekupnie i władze miejskie. Z poranną zorzą i daleki wędrowiec, choć jeszcze nie ujrzał miasta, posłyszał go odległe; z piérwszym brzaskiem, na wysokich piętrach zajaśniały światła, a odgłos pieśni pobożnych, pracowitych mieszkańców, przerywał ciszę grobową: był to hymn poranny, zmięszany jak gwar leśny.

Ale *zjazdy* panów i szlachty, odmieniały i w on czas tę postać *staréj Warszawy*. Ulice ciasne stały i w nocy otworem: w winiarniach i szynkach grzmiały pieśni i wrzawa: rzadki bruk gdzie niegdzie, szczerbiła szablami podpiła szlachta i czeladź. W domach światła całą noc nie gasły; a huczne nadworne *kapele* panów, miasto pieśni nabożnych, witały nie raz poranną zorzę. Po ciasnych ulicach grzmiały koła, to kolas ozdobnych, to tętniły podkowy konnych jeźdców. Rynek ciasny, ścieśniały więcéj kramy kupców: bo wtedy znajdowali liczny odbyt, tu był główny ich handel, szlachta i panowie sypali złotem, skupując wszystko do swoich dworów i zamków.

Mieszkańcy właściwi w czasach takich zjazdów, jeżeli zyskiwali, ponosili i szkody. Największą klęską, klęską co groziła zniszczeniem staréj Warszawie, był pożar w 1607 roku, w czasie pamiętnego rokoszu Zebrzydowskiego. Ulice zacieśnione były ciągnącym ludem wojennym, końmi, wozami, liczną czeredą kupców ze wszystkich stron zebranych. O saméj północy, łotry żądzą łupów wiedzeni, w kilku miejscach pomiędzy sklepy w rynku Starego miasta podłożyli ogień. Wybuchnął razem pożar okropny. Przebudzeni strachem mieszkańcy, rzucili się do obrony, lecz złoczyńcy odpychali ich od własnych towarów i sprzętów, rozrywając pomiędzy siebie. Mimo dzielnéj pomocy i wszelkich usiłowań, spłonęło ogniem wiele drogich towarów perskich i tureckich; w samym rynku 22 domów, od Wisły wiele także zgorzało i uszkodzonych nie mało.

Głównémi ozdobami *staréj Warszawy* były: zamek z drzewa zbudowany, siedziba książąt Mazowieckich, kościół świętego Jana czyli katedra, kościół księży Augustyanów i Ratusz. Kiedy przyłączono księztwo Mazowieckie do Polski, od roku 1526, zaczęto dopiero budować *Nowe miasto*: a obok starych i warownych murów, bram i basztów *staréj Warszawy*, podnosiły się domy i pałace panów. Wszakże i w tych gmachach bogatych panów, miano uwagę na bezpieczeństwo: budowano je jak małe warownie, otaczano murem, baszty i bramami. *Stara Warszawa* zawsze mogła stawić czoło sile; co za jéj murami stało, własnéj zostawiono obronie.

Po przeniesieniu stolicy z Krakowa do Warszawy (między r. 1610 a 1616) wzrastać poczęły przedmieścia za murami właściwego miasta. W roku 1656, gdy Szwedzi warownie z ziemią zrównali, rostworzyli przedział i zapory, które rozgraniczały *Stare miasto* z *Nowém* i *Krakowskiém przedmieściem.* Przy zamku stała długo brama krakowska: z zrzuceniem jéj w roku 1818, oczyszczono plac piękny, i ściśle gród stary złączono z resztą dzisiejszéj Warszawy.

Wszelako *Stare miasto* zachowało właściwe piętno na obliczu swoim, jak starzec w zmarszczkach i siwiznie nosi starość i wiek nie lada.

Kto przebiegał miasto, równo z brzaskiem dziennym, dostrzeże wielkie różnice i cechę właściwą téj części miasta. Na głównych ulicach wszystko w śnie pogrążone, światła nie zobaczy: niech wnijdzie na rynek Starego miasta, ciężkie powietrze naciśnie mu piersi; na poddaszach i wysokich piętrach: to świece na schyłku, to lampki przy szklanych baniach rozrzucają światło, pieśni nabożne jeszcze zasłyszy, które pracowity rzemieślnik wyśpiewuje przy robocie. Pieśni téj już nie usłyszysz na wspaniałych ulicach i w domach naszego wieku. Tutaj najraniéj schodzą się wieśniaczki z okolic z nabiałem, i zasiada na zydlach przed swemi kramami junacze pokolenie *przekupek warszawskich.*

Jest to najdziwaczniejszy utwor babi, krokodyl z niewieściego rodzaju. Lubo rzemiosło przekupek jest szeroce rozgałęzione u nas, tutejsze przekupki uważać należy jako najlepszą rasę między innemi: wymowa ich

poszła w przysłowie: „*że wygadana jak przekupka warszawska.*"

Obdarzone nadzwyczaj zwinnym językiem, osobliwie się nim przez dzień cały napracują. Charakterystyka ich jest tak oryginalna, że kto raz jeno zobaczył prawdziwą przekupkę ze Starego miasta, już tego obrazu nigdy nieutraci z pamięci. Oko zachowa myśli tak spaniałą massę ciała, co kaczym chodem, na słonich nogach jednakowéj grubości od kolan do stopy, przechodzi wspaniale: ucho przechowa ten organ mocny, co nad wszelkiemi chórami wielkich oper jeszczeby przemagał, i panował wszystkim. Dodajmy do tego oblicze poważne, tłuste zwyczajnie: dwa policzki wypukłe, czerstwością burakowéj barwy nadobne: oczy żywe, co szczególniéj jaśnieją ogniem brylantu, w uniesieniach i gniewie: owa rączka pełna zaśniedziałych pierścieni, coby w starożytnéj Szkocyi, na obróżę niewolników szyi mogły posłużyć; owa jupka, krótka po kolana, futerkiem podszyta: spódnica z niewielą fałdami, zgrabna, na jędrném zawieszona ciele, i czepiec odwiecznego kształtu, cztero-łokciową chustką związany: a będziem mieć zbliżony przynajmniéj obraz jednéj, z rodzaju przekupek *Starego miasta*, zkąd się rozsiedliły i po dalszych ulicach.

Co stary Owen napisał:

„By była w gniewie, krzyku, wstrzymana niewiasta,
„Praca ta Herkulesa byłaby trzynasta." (1)

Co wyraża znajoma powiastka ludu, na gadatliwość babią, że jak jedna baba stanęła między wiatrakiem a wodnym młynem, i zaczęła gadać, wiatrak ustał, młynowi wody zabrakło, a baba jeszcze gadała: to wszystko w zupełności do naszych przekupek zastosować można.

Chciałbym z saméj ciekawości wiedzieć, czy znajdzie się istota na świecie więcéj gadatliwa, i tak wytrzymała jeszcze: w tym albowiem rodzaju wysiloną przyrodę (2) widzimy; bo jeżeli swoich darów w moralnych uskąpiła władzach, to mocnym organem, zdrowémi płucy, grzmotliwą obfitością wyrażeń, hojnie je za to wynagrodziła. Ztąd wszystkie władze, moralne i fizyczne, zdają się zgromadzone jednoczyć w języku przekupki. Dla czego uczeni doktorzy, zrobili tak światłą uwagę, że nie było przykładu, ażeby z tego cechu, choć jedna niewiasta na suchoty zmarła; są albowiem zabezpieczone, przez ciągłe ćwiczenie płuc, które codziennie wzmacniają.

Wiele pomiędzy niémi znajdujem, co nietylko drugich, ale trzecich i czwartych już mężów mają. Spojrzyjmy na tę parę, jaka widoma sprzeczność! Przekupka, jak basza, rozkazującym tonem woła przy straganie, a wybladły, jak Piotrowin z grobu, i chudy, jak chrząszczyk, młodszy o lat wiele, mąż, kręci się posłuszny, w wytartym surducie lub w wypłowiałym, połatanym fraczku. Jest to zwykle jaki lokaj, albo furman, dorożkarz z miasta, co w nadziei dobrego bytu, polepszenia losu, ofiarował swoję rękę, miłość i czerstwość wdowie; a dziś zawiedziony, utraciwszy zdrowie i czerstwość, niewolnik pod surową władzą trzytulnego baszy, z któréj się nawet wyłamać niéma odwagi, wyciera do reszty zasłużoną liberyę, nim się jego zlituje pani, i grzbiet okryje jakową kurtą, alboli opończą, grzbiet, na którym nosił nie raz cały szereg wyraźny pięciu palców z pierścieniami ukochanéj małżonki, lub jak dwie krople wody, podobny odcisk drążka od miotły lub konwi. Jeżeli do kogo, to do tych biedaków, męczenników stanu małżeńskiego zastosować można dawną przypowiastkę, że: „*u wdowy chleb gotowy, ale nie każdemu zdrowy.*" Czcigodna małżonka, jest w każdém miejscu, i sędzią, i wykonawcą wyroku. W jednéj chwili dostrzedz można pośród rynku Starego miasta, naprzód obruszenie na zuchwałego sługę, którego raczyła za męża przyjąć, i zaraz albo kurzawę z czupryny lub nagle przypieczony policzek. Winowajca odbiera z pokorą zasłużoną karę, a rzecz szczególna, że podobne junactwa wśród rozmowy z kupującemi zdarzają się. Weźmy jednę tego rodzaju scenę:

PANI KUPUJĄCA.

Co wasani chcesz za tę wiązkę szparagów?

PRZEKUPKA (*z gniewem*).

Dwa złote! (Cicho do męża) poczekaj wisielcze! nie podaruję ci tego.

PANI.

Ale to drogo, nie dam jak złotówkę.

PRZEKUPKA.

To być inaczéj nie może! Chcesz kupuj pani, albo nie! (Cicho do męża): I czegóż stoisz jak *trusia?* chodź tu gawronie! (I porwała go za rękę).

PANI.

No! i jakże — dam złoty.

(1) *Przekład Turskiego.*

(2) *Przyroda — natura.*

PRZEKUPKA.

Nie dam od dwóch; (krzycząc) proszę! jaki mi kupiec? ma tylko złotówkę w kieszeni, i już chce cały targ zakupić!

„To mi pani od Szląska,
„W plecach szeroka, a niżéj wązka.“ (3)

(Kupująca odchodzi).

(Do męża.) A ty! ty!... i trzask jak z bicza rozległ się po rynku. Pani żona sapiąca, usiadła na swoim zydelku, a biedny małżonek wącha kwiaty, co w obszernym garnku stoją na sprzedaż, dla ożywienia się cokolwiek, i ukrycia tak świeżego rumieńca nadanego sztuką.

Jeżeli rynek Starego miasta, odbija echem po odwiecznych murach, razy silnych dłoni przekupek, przylepianych do policzków ich mężów, domowe ściany, czyż je nie odbiją częściéj? Jan Nepomucen Kamiński, ztąd musiał brać wzory, gdy tak dosadnie maluje nam język swarnej żony:

Hałas, tartas, klekot w domu,
Coś pytluje, jakby w młynie,
Choć się zdarzy zajrzeć komu,
Krzyżyk zrobi, dom ominie:
I ucieka, i ucieka,
Choć go wołaj, nie zaczeka.

Tfu! do czarta! czy nikomu,
Rzec nie wolno co w tym domu,
Przez dzień boży od poranku,
Tak terkocze bez ustanku?
Może! — Panie, odpuść grzechy,
Sypie z woru bies orzechy?

Nie panowie! mylne zdanie,
Niech pozwolą piękne panie!
Ja wykryję dziw tajony,
Jest to język — swarnéj żony.

On to jakby blacharz w sklepie
Takim taktem zawsze klepie,
Nawet wtedy w gębie myka,
Kiedy zaśnie dobrodzika!

Odważne i bitne, a w bójce zacięte. Sam widziałem gdy dwie przekupki rzuciły się na siebie, po półgodzinnéj walce językowéj: nie było szabli ani kija, pazury i zęby zastępywały broń zaczepną i odporną. Naprzód za natarciem wyleciały czepce z głowy w powietrze, jak race Kongrewa; a choć ręce nie spoczywały, i cała massa ciał była w ustawnéj pracy, języki ciągle zwyczajną a przyspieszoną odbywały służbę. Nareszcie nieprzyjaciele tak się zbliżyli, że uchwycili się nawzajem zębami, to za tłusty, aż trzeci podbródek, to za nos mięsisty. Ucichł dopiero wtedy głos zapaśników; a gdy daremnie starano się tak ścisły związek rozerwać, kubeł wody, który domyślny parobek z poblizkiego domu wylał na nie, ochłodził ich zapał, i koniec zaciętéj walce położył.

(3) *Ulubiona przypowiastka przekupek warszawskich.*

Ale słusznie mógłby kto zarzucić, że nie wszystkie tak są opasłe: są między nimi i chude, wszakże zwykle bywają niedorosłe, młode córki, świeżego pokolenia, a już usposobione do późniejszego rozrostu. Chodzą z koszykiem, roznosząc po mieście rozmaite gatunki owoców, zaglądają z wszelką otwartością do każdego mieszkania, umieją zręcznie zachwalać swój towar, i dla świeżych młodego panicza ócz, czasem bez pieniędzy obdarzą soczystą gruszką i nie jedném jabłkiem.

Chcesz-że poznać ten rodzaj niewiast, coby nie jeden rozdział Walter-Scotta ożywić potrafił? Wstąp rano między 7mą a 8mą godziną na *Starém-Mieście*, do ich gospody, a gdy usłyszysz mocny oddech z sapaniem silném połączony, głos chrapliwy, męzki, ale w którego brzmieniu odbija się niekiedy coś dźwięcznego i piskliwego; zajrzyj wtedy do bocznéj komnaty, a zobaczysz nie jednę z tego rodzaju matron poważnych, z rozkwitłym rumieńcem, co na ranne śniadanie posila się kwartową sklenicą mocnego ponczu, dla wzmocnienia piersi, po wczorajszéj całodziennéj pracy. Innych miast kobiéty tego cechu, są tak podobne do nich, jak nasz koń znędzniały, do arabskiego rumaka, na stajni Szacha Perskiego.

W wysokich kamienicach *Starego-Miasta*, na wysokich piętrach, dosyć znajdziesz zamieszkałych skromnych i ładnych *gamratek*. Gitara zawieszona, często z porwanemi strunami, zwiastuje nieraz ich pobyt. Tu w czasie zapust masz najwięcéj *balów przyjacielskich*, które swoją obecnością gamratki zdobią. Są to zabawy prawdziwie *przyjacielskie*: mało (jakto teraz mówią) *żeny*, zbytku w strojach niemasz, za liche pieniądze zaspokoisz głód i pragnienie, natańczysz się do woli; słowem *bale przyjacielskie* są prawdziwym karnawałem *Starego-Miasta*, w których kusy worek, może uweselić swego pana.

Albertrandy znany dziejopisarz, z budowy rynku *Starego-Miasta* i rynku Wrocławia, zrobił wniosek, nadawszy ojca War-

szawie w kasztelanie *Warsz'u*, że ci sami rzemieślnicy co w Wrocławiu budowali, i tu użyci byli. Błahy domysł i nietrafny. Widziałem rynek w Wrocławiu i o tyle jest podobny, jak w każdym starym grodzie, gdzie zwykle w czwrogran stawiano domy, a we środku ratusz. Jeżeli to by stanowiło dowód, rynek Starego Miasta potrzebowałby rzemieślników tak dobrze z Krakowa, Lwowa, Poznania, jak i Wrocławia.

Za murami *Staréj Warszawy*, albo raczéj przy murach, ciągnęła się dzisiejsza ulica *Podwale* (Pod-wale), za murami a przed *Bramą Krakowską* stał posąg Zygmunta IIIgo gdzie tragarze, i najemnicy do posług różnych stoją, znani w mieście z przysłowia: „Próżniak Zygmuntowski.“

Kaz. Wład. *Wojcicki.*

TOWARZYSTWO EGIPSKIE.

W roku zeszłym zawiązane zostało w Kairze *Towarzystwo Egipskie*, które z jednéj strony wielkie rokuje korzyści dla licznych podróżnych Europejczyków zwiedzających Egipt, a z drugiéj może się skutecznie przyczynić do poznania środkowéj części Afryki. Założycielem towarzystwa jest uczony lekarz angielski, doktor Alfred Walne, zamieszkały w Egipcie celem doskonalenia się w języku Koptów i zgłębienia hieroglifów. Towarzystwo najęło dom, przeznaczony na zgromadzenia cudzoziemców i posiedzenia własne; założyło też bibliotekę, która ma obejmować to wszystko cokolwiek użyteczném bydź może dla podróżujących po azyatyckich i afrykańskich prowincyach państwa egipskiego. Dotąd, jeden tylko Turek był członkiem towarzystwa, reszta zaś składała się z Anglików, Niemców i Francuzów. Nie sami przyjaciele nauk cieszyć się będą z zawiązania się Towarzystwa Egipskiego; przyjaciele religii staną się także radości ich ucześnikami. Egipt jest ogromnym składem wiadomości, w którym już w ostatnich czasach odkryto wielką liczbę faktów potwierdzających opisy w księgach Pisma Świętego zawarte. Że jeden tylko przykład wymienimy, odkrycie Champolliona, do tych wypadków należy, które w ręku Opatrzności, stają się potężnym, acz podrzędnym środkiem, do przyśpieszenia tryumfu prawdy objawionéj. Wszelkie przeto usiłowania dążące do ułatwienia badań naukowych w kraju Faraonów, zasługują na miłe przyjęcie ze strony chrześcijan.

NOWE DZIEŁO.

Zoologia albo historya naturalna zwierząt, w głównych zasadach, podług systematu Linneusza, trybem Blumenbacha, z wielą dodatków i odmian zastósowanych do dzisiejszego stanu téj nauki, dla użytku młodzieży szkolnéj ułożona przez Norberta Alfonsa Kumelskiego, *byłego uniwersytetu Wileńskiego podbibliotekarza, następnie powołanego na professora technologii powszechnéj w tymże uniwersytecie, Cesarskiego towarzystwa badaczów natury w Moskwie, i innych członka; i Stanisława Batys* Górskiego *w Cesarskiéj Wileńskiéj medyko-chirurgicznéj akademii w obowiązku adjunkta dającego farmakologią, farmacyą i botanikę, Cesarsko-Wileńskiego towarzys. med. członka. Wilno, nakładem i drukiem Teofila Glücksberga księgarza i typografa Cesarskiéj Med. Chir. Akad. i Białoruskiego naukowego okręgu* 1836 *r. in 8vo tom I i II str. XVIII* i 606 *oprócz przedmowy.*

Dzieła tego dwa piérwsze tomy, jeden, obejmujący zwierzęta ssące, a drugi ptaki, z pod prassy już wyszły.

Ukazanie się książki w podobnym przedmiocie, byłoby pożądaném i zajmującém zjawiskiem na widnokręgu każdego pismiennictwa, tymbardziéj takiém być musi dla nas, którzy niewielkim szeregiem dzieł w tym rodzaju ojczystym językiem pisanych, poszczycić się możemy. Autorowie wspomnionéj zoologii, prawdziwie czując potrzebę zapełnienia téj u nas próżni, z postępu ogólnego nauki wynikającéj, przedsięwzięli jéj zaradzić w sposób, któryby najwięcéj potrzebie obecnego czasu odpowiadał; i jak się nam zdaje zamierzonego celu pracy swojéj niechybiają. Żebyśmy jednak zdania naszego nikomu nie narzucali, zamierzamy zasady jego w krótkości okazać; ostrzegamy przytém, iż niewdzierając się na urząd uczonego krytyka, myśl naszę w sposób dla wszystkich przystępny objawić pragniemy.

W poznawaniu tworów przyrodzonych każdemu z nas wiadoma jest ważność układów czyli systematów; jest to nić Aryadny, którą wpośród ogromnego labiryntu, już to podobnych, już odmiennych jestestw prowadzeni, porządnie je obejrzeć, i gruntownie poznać możemy. Wybór właśnie systematu w zoologii przez nas rozważanéj, zdaje się nam być trafnym, i zupełnie przeznaczeniu swojemu odpowiednym. Czujemy zarówno z innymi cały powab i gruntowność układów

naturalnych, w których radzibyśmy oglądali ową zadziwiającą jedność organizacyi zwierzęcéj, panującą w stopniowém rozwijaniu się wielkiego zwierząt łańcucha; oceniamy piękność i zalety tego zwierzęcego drzewa, którego *wzory pierwotne* w kształcie wielkich konarów, wspólnym korzeniem w ziemi utwierdzone, wierzchołkami swoimi wyżéj lub niżéj ku źródłu życia się wznoszą; lecz przytém przekonani jesteśmy, iż dla poczynających w téj nauce, lub też dla tych którzyby w niéj sami postępować chcieli, głównymi przewodnictwa przymiotami, przystępność, jasność, i prostota bydź powinny. Tym też warunkom układ sztuczny Linneusza najbardziéj zadosyć uczynić może: szczupła klass liczba, jasne cechy co je znamionują, przystępne i wszystkim prawie znajome organa z których też cechy są wzięte, zdają się dostatecznie za nim przemawiać. Wielość gromad korzystna przy szczegółowéj znajomości organizacyi zwierzęcéj, zkądinąd już nabytéj, dla poczynających jest nieprzystępną, mnogość ich utrudzającą, a cieniowania co je wzajem rozdzielają nader delikatne i prawie niewidoczne; dla tego też, raz jeszcze powtarzamy: iż układ w zoologii o któréj mówimy, jest ściśle do celu swojego stósownym.

Co się tyczy podziałów rzędowych, te o tyle są trafne, i do naturalnych zbliżone, ile tego w układzie sztucznym pragnąć można, mianowicie w klassie zwierząt ssących, gdzie z samego już ich nazwania, łatwo uczący się poznać może cechy, które je znamionują. W klassie zaś ptaków, ponieważ te rzędy nie są tak dobitne, przeto sądzimy, iż charaktery rzędowe, powinnyby być właściwiéj umieszczone przy samémże ich wyliczeniu, a nierozrzucone jak są na czele rzędów rozmaitych; albowiem, mając wspólnie przed oczyma wszystkie cechy rzędowe, łatwiéj upatrzyć jest ich różnice, lub też danemu indywiduum dogodniéj właściwe naznaczyć miejsce, aniżeli szukając go w rzędach po całéj książce rozrzuconych; zwłaszcza, gdy odcienia rozróżniające niektóre z tych rzędów, tak są delikatne iż z trudnością upatrzyć się dają, jak tego przykład mamy na *dzięciołach* i *krukach*, gdzie sama grubość dziobu całą różnicę stanowić się zdaje. Umieszczone w rzędach rodzaje, ze swoimi gatunkami, oznaczone są cechami krótkiemi i jasnemi, tak w polskim jako też i łacińskim języku. Chociaż nie jesteśmy stronnikami uczenia na pamięć wyrazów, których znaczenie dostatecznie oznaczyć, nie mając pod okiem samegoż zwierzęcia, z trudnością przychodzi; i chociaż zatrzymanie w żywéj pamięci mnóstwa cech, prawie niepodobną sądzimy być rzeczą: niemniéj jednak oceniamy ważność charakterów przyłączonych z tego względu, iż za ich pomocą mając dane indywiduum, łatwo do oznaczenia jego rodzaju, i gatunku przychodzimy; co właśnie niezbędnym przymiotem podręcznéj książki być musi. Żałujemy tylko iż autorowie w niektórych razach nie trzymają się co do podziałów przyzwoitéj ścisłości; zasady raz położone powinny być stałe i nieodmienne, a wszelka dowolność na zawsze już zginąć musi. I tak, we wstępie samiż autorowie powiedzieli. „*Klassy* (Classes) „składają się z *rzędów* (ordines), podzielo-„nych czasem na *familie* (familiae), złożone „z *rodzajów* (genera), albo też prosto na „*rodzaje*, rodzaje obejmują *gatunki* (spe-„cies) a te złożone są z *pod gatunków* lub „*odmian* (varietates).“ Przykład takiego podziału mamy w rzędzie zwierząt *czworonożnych rozdzielno-palcowych*, podzielonych na trzy pokrewieństwa, to jest: gryzące, drapieżne i szczerbate; tymczasem, bardzo często nie już rzędy, lecz i same rodzaje dzielą się na familie, jak to znajdujemy w rodzajach: małp, sów, papug i t. d. Taka dowolność, zwłaszcza dla poczynających, może się stać powodem do powątpiewania o ścisłości zasad całego układu.

(*Dokończenie nastąpi.*)

KMIEĆ NORMANDZKI.

Normandya, prowincya królestwa francuzkiego, najczęściéj bywa z ogólnych względów porównywana do Anglii; i w rzeczy saméj liczne powody usprawiedliwiają to porównanie. Dosyć już za nim przemawia okoliczność, iż oba kraje przez długi czasu przeciąg pod jedném i témże samém znajdowały się panowaniem, zkąd niemało wynikło pomiędzy mieszkańcami wzajemnych stosunków, i sposób życia jednych w znacznéj części od drugich został przyswojony. Porównanie to trafnie przypada do klimatu i położenia obu krajów: też rozległe równiny, wzgórzami miernemi tu i owdzie poprzerzynane, też obfite pastwiska, też same królestwa roślinnego płody; klimat jednak w Normandyi więcéj jest suchy, i nieco cieplejszy aniżeli w Anglii; ale też same wiatry, o jednymże czasie tu panują, i pory roku niewiele się różnią w obu krajach.



(KMIEĆ NORMANDZKI.)

Cywilizacya atoli angielska znacznie wyprzedziła normandzką; co zaraz na rolnictwie dostrzegać się daje, które w porównaniu z angielskim na bardzo niższym znajduje się stopniu. Folwarki w dzierżawę puszczone szczupłe są, po większéj części mają gruntu ledwie sto akrów, a ludność w małych wioskach rozproszona, nie tyle jest odpowiedna obszerności ziemi co w Anglii. We wsiach, które po większéj części leżą na dolinach, wszystkie prawie domy są z gliny budowane, słomą, lub sitowiem pokryte. Budowle z domostwem łączące się, obszerne są, ale nietrwałe; sprzęty rolnicze zgoła do angielskich niepodobne, machiny całkiem prawie nieznane. Sposób życia włościanina normandzkiego nader jest prosty: żywność jego składa chleb, jarzyny, cydr; mięso mało używane; natomiast wiele kawy i syropu. Odzież włościanina podobnież jest prosta i starożytnego kroju. Rycina powyższa wyobraża kmiecia normandzkiego w codziennéj odzieży, odpoczywającego po dziennym trudzie przededrzwiami swego domu. Ta postać w najprostszym jak tylko bydź może przyodziewku, tém mocniéj uderza oko, im więcéj w innych krajach lud wiejski okazuje wzrastające zamiłowanie wykwintnych strojów. Normandya dzieli się teraz na pięć departamentów, a mianowicie: *de la Seine inférieure*, *Calvados*, *de la Manche*, *de l'Orne* i *de l'Eure*.

wWARSZAWIE, w DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA, KSIĘGARZA SZKÓŁ PUBL., ULICA PRZEJAZD N. 649.